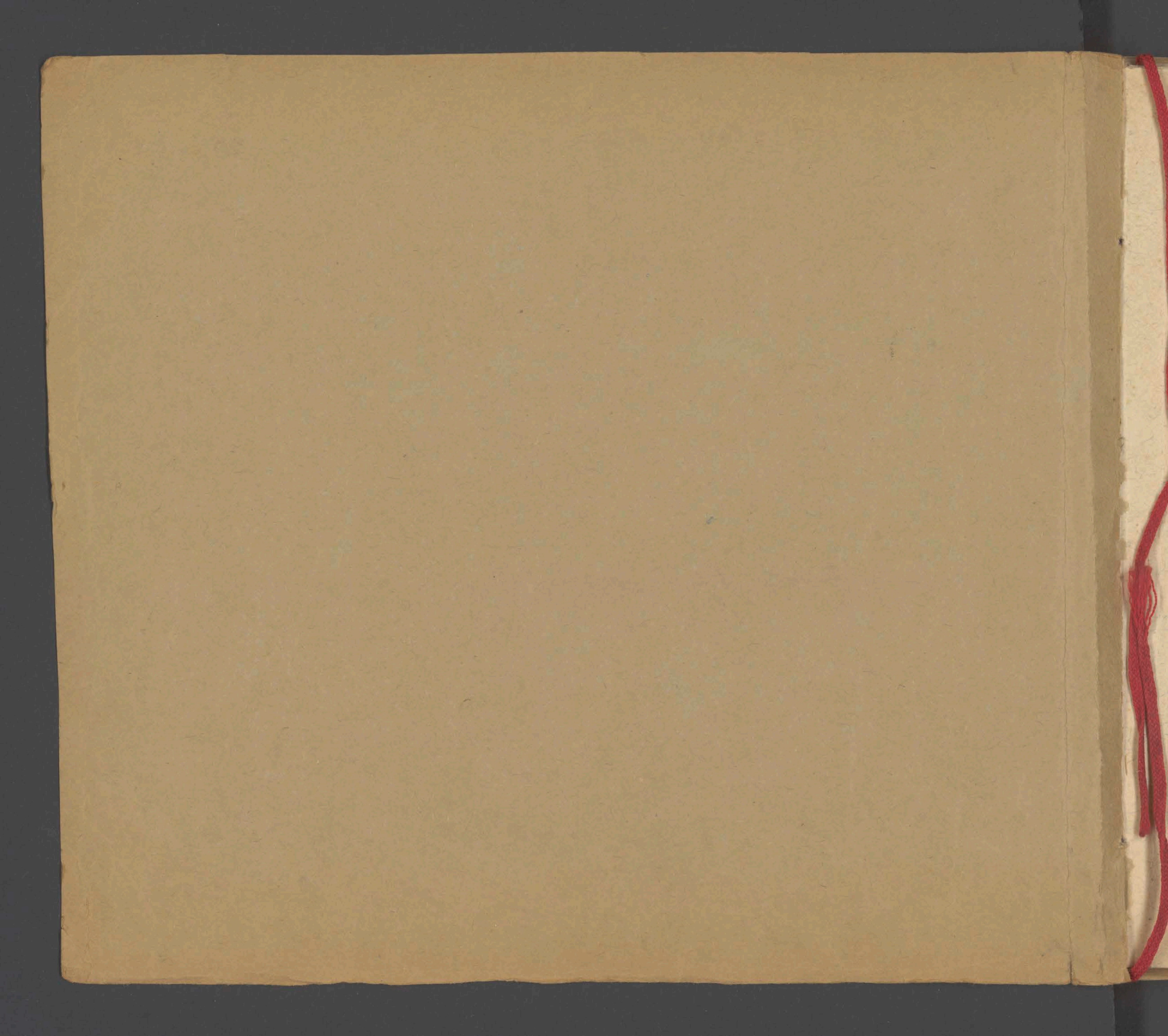
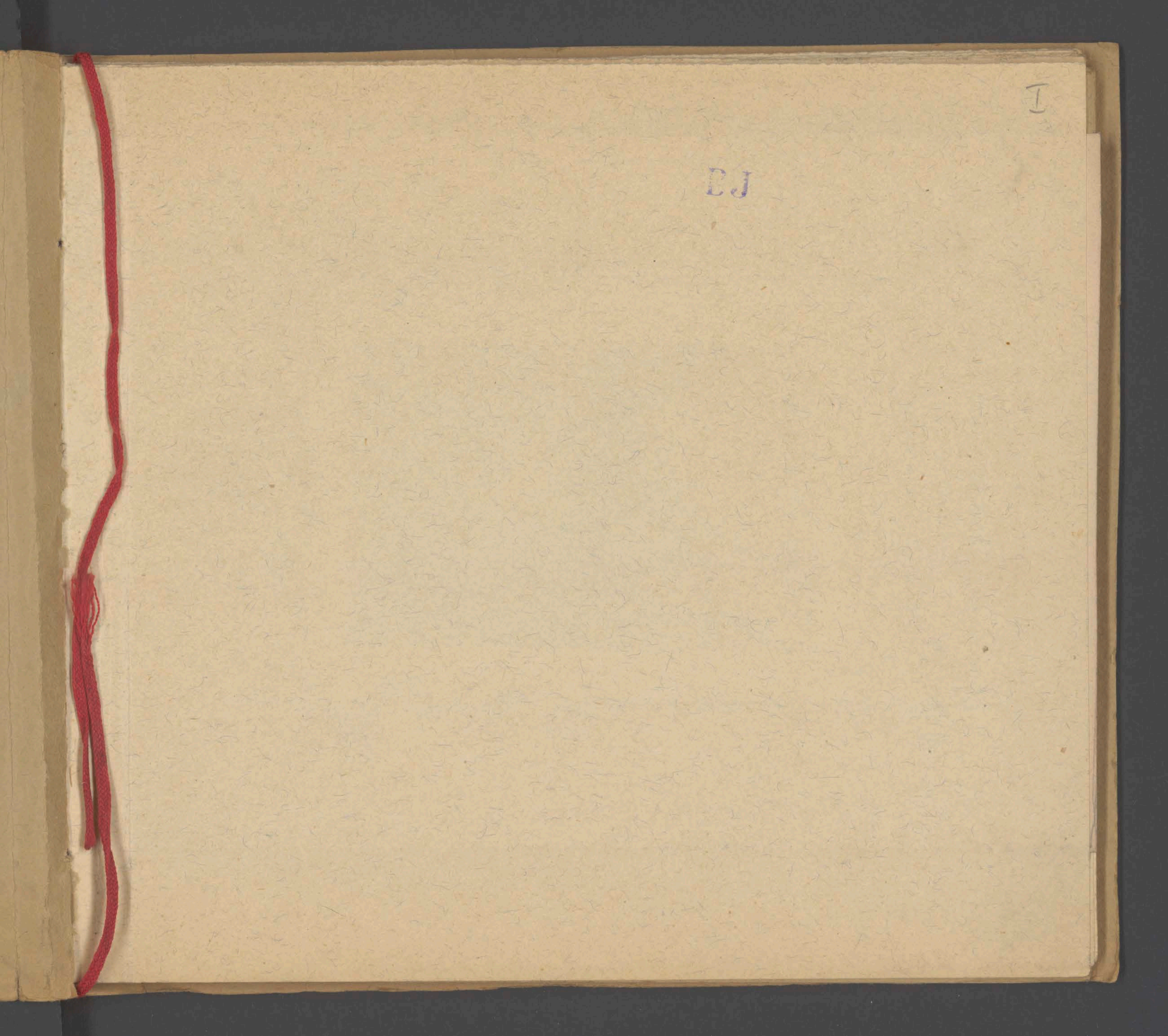
Rok

1859–1861.

V.




I
EJ



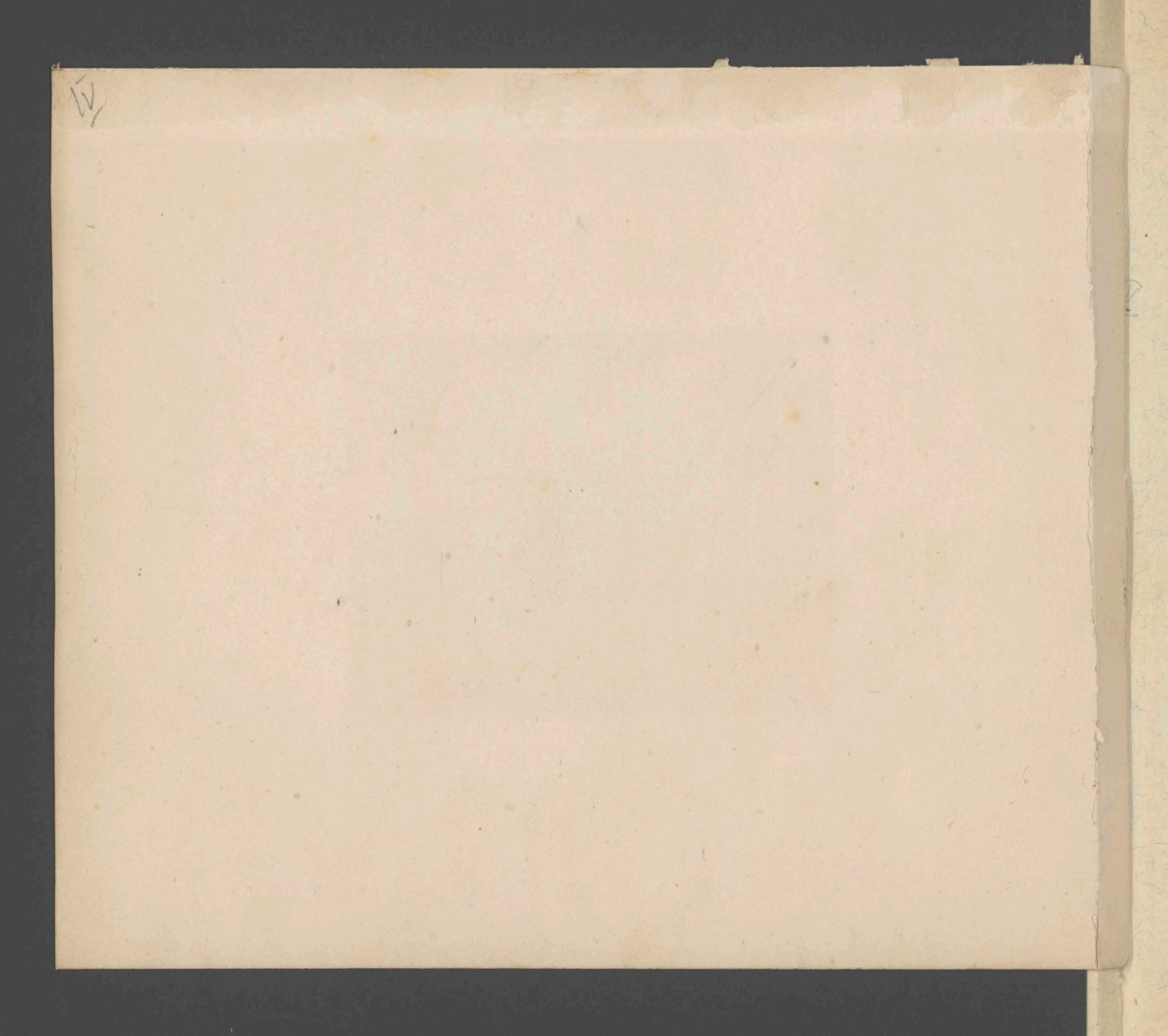
Zofia Potocka Adamowa

od r. 1847 – 1879.

Prezesowa Dam krakowskiego Towarzystwa Dobroczynności.

Fot. z natury W. Rzewuski.

Litogr. M. Salb w Krakowie



1.

Rok 1859.

W pamiętnej kampanii austro-włoskiej tego roku brał udział brat mój młodszy jako podporucznik w pułku hr. Thuna. Zaczęły się więc dla nas dni trwogi o zdrowie i życie 21 lat liczącego Edwarda. Każdy biuletyn z pola walki odczytywaliśmy ze ściśniętem sercem. Odbieraliśmy też dosyć często krótkie listy od niego, pisane po krwawych bitwach dla uspokojenia naszego, ale pismo zdradzało śmiertelne znużenie fizyczne. Poczciwa niańka Edwarda i długoletnia nasza sługa Zofia Pomiechowska, żona szewca, często przybiegała ze Zwierzyńca, aby zasięgnąć wiadomości o ukochanym przez nią Edziku. – Po

bitwie pod Solferino przez dni kilka nie mieliśmy o bracie żadnej wiadomości, straszny niepokój w duszy staraliśmy się ukryć jedno przed drugiem, lecz nie bardzo nam się to udawało... Zofia Pomiechowska odeszła z płaczem, jakby przeczuwała coś złego. Wtem, odebraliśmy telegram tej treści: „Jestem kulawy – chwilowo – wracam do domu dziś wieczorem." Radość zapanowała u nas, gdyż doniesienie, że powraca biedak do domu a nie do szpitala garnizonowego dowodziło, że nie jest ranny niebezpiecznie. Powrócił zbiedzony, wychudły, z dwoma gwiazdkami na kołnierzu, gdyż zaraz po bitwie ostatniej mianowany został porucznikiem. Brat mój odniósł silną kontuzję w nogę koło kostki; cierpiał

ból dotkliwy, ale wrodzony mu humor nie opuszczał go.
Mieliśmy wówczas psa pinczera; nazywał się „Muncy".
Psisko przywiązane szalało z radości, witając Edwarda po długiem niewidzeniu. Przez wzgląd na utrudzenie chorego udaliśmy się wcześniej na spoczynek, aby zapewnić bratu spokój. Ale Muncy spać nie mógł z radości, wskakiwał na łóżko Edwarda, liżąc go po twarzy, słowem zachowywał się niespokojnie. O świcie począł drapać do drzwi wchodowych a gdy został wypuszczony, zaszczekał u drzwi stróża, który zbudzony wstał i wziąwszy miotłę do ręki poszedł otworzyć bramę, aby ówczesnym zwyczajem zamiatać przed domem. Muncy tedy strzałą puścił się w stronę dworca a zastawszy dom Pawlechowskich jesz-

cze zamkniętym, drapał po szybach niskich okienek i szczekał dopóty, dopóki mu nie otworzono. Zofia, widząc czworonogiego gościa o tak wczesnej godzinie, zaniepokoiła się, ale radosne szczekanie Ślicznego, biegającego od niej do drzwi wyraźnie wskazywało, że pies chce ją z domu wyprowadzić. Zofia okryła się więc chustką i wyszła. Psisko nie posiadało się z radości, skacząc i szczekając całą drogę do mieszkania. Na wstępie od stróża dowiedziała się o przybyciu Edwarda a serdecznemu przywitaniu się z bratem Edzikiem przypatrywał się poczciwy Ślicznty z miną tryumfatora... Tak to przywiązane zwierzę umie nietylko żyć, ale i współczuć z człowiekiem.
Bratu mojemu zalecono kąpiele siarczane, więc

ojciec zamówił listownie dla niego mieszkanie
w Łazienkach Krzeszowickich, a ja wzięłam się
do przygotowania na wyjazd wszystkiego, co dla wygo-
dy słabego mogło być potrzebne, kiedy pojawił się
u nas p. Kulczycki, sekretarz hr. Arturowej z Bra-
nickich Potockiej, z oznajmieniem, że pani ta ofia-
ruje bratu mojemu 2 pokoje słoneczne w ogrodzie
kwiatowym w Krzeszowicach z całkowitem utrzyma-
niem na czas nieograniczony. Z nie małem zadowo-
leniem przyjęliśmy propozycję wspaniałomyślnej
hrabiny, zwłaszcza, że brat mój oprócz kąpieli
potrzebował także dobrego odżywiania się po tru-
dach wojny. Pomieszczenie w Krzeszowicach istnym
było rajem! Potoki słońca zalewały pokoje, mozą-

drodze najwygodniej, z wyjściem na ogród, pełen
najpiękniejszych kwiatów i upajającej woni. Po-
myślano tam o wszystkiem, co człowiekowi choremu
ulgę przynieść i przyjemność sprawić może. Nietyl-
ko wyborna pałacowa kuchnia, powóz, ale i biblio-
teka pałacowa były do jego dyspozycyi. Nie dosyć
na tem, że pacyent ze swoim służącym opływali
w dostatku, ale każde nasze odwiedziny u brata,
widocznie sygnalizowane przez kogoś w pałacu, po-
wodowały profuzyę potraw i rozmaitych przysma-
ków, jak n.p. owoce, lody, cukry i t.p., co nas po-
częło trochę krępować, więc zaczęliśmy innemi
przybywać pociągami, skradając się przeciwną
stroną ogrodu do kwatery brata, lecz nic to nie

pomogło, - wszelkie incognito udaremniała dobroć i gościnność szlachetnej pani Czturowej. Dodać i to muszę, że w programie przyjęcia naszego w Koszowicach była w dodatku zawsze wspaniała wiązanka kwiatów, specyalnie „dla panienki" jak mówił ogrodnik, przeznaczona. Przy tak sprzyjających warunkach kuracya mego brata dość raźnie postępowała. Kiedy już mógł chodzić o lasce, często zapraszali go p.p. Potoccy na obiad lub herbatę do pałacu. Edward miał niezwykły dar opowiadania, a przeżycia wojenne tyle ciekawego dostarczały tematu! Trzeba dodać, że liczne i wdzięczne miał audytoryum; tylko jego, chłopca młodego, krępował wobec młodych panienek bucik filcowy... Pocie-

szałam go tem, że przecież drugi, skórkowy i elegancki świadczy o jego zgrabnej nodze.
Po 10 tygodniowym pobycie brata w K. poszliśmy podziękować hr. Potockim, i p. Estturowej za wyświadczoną choremu łaskę i opiekę i cieszyły nas pochwały, jakich nie szczędzili mu tak sami gospodarstwo, jak i ich liczni goście. — Ojciec udał się do doktora ówczesnego, chcąc złożyć przynależne honorarium, lecz ten oświadczył, że tak doktór jak i apteka wliczone są do pobytu. Domyśliliśmy się, że nadzwyczajne względy te były ze strony hr. Estturowej aktem wdzięczności za przysługi, oddane jej przez mojego ojca, który z urzędu swego stykając się z najskrajniejszą hydrą Krakowa, współdziałał

z nią w akcyi dobroczynnej. — Mądra i wielkoduszna
ta kobieta, była osobistością opatrznościową dla
naszego miasta; hojna i uczynna bez rozgłosu,
wspierała ludzi, znajdujących się w krytycznych
sytuacyach nie z ich winy a pomoc jej stanowiła
podwalinę do polepszenia się ich losu, przez zapo-
czątkowanie jakiegoś n.p. zawodu i pracy. Dobro-
czynność p. Strutwowej nie była ową jałmużną
złotówkową, rzucaną natrętnemu żebrakowi. Hojną
ręką wspomagała ona młodzież akademicką i szkol-
ną, podupadłych rzemieślników, starców, kaleki
i instytucye humanitarne, którym przewodniczyła.
Pałacu „pod Baranami" nie oblegały tłumy zawodo-
wych żebraków, ale p. Kulczycki miał pewne zle-

ceniu hr. Arturowej, aby wyszukiwał wstydzących się żebrać i sprawdzał nędzę. To też za życia tej poczciwej matrony nie było w Krakowie tak zwanych „pańskich dziadów", którzy nadużywają miłosierdzia ludzi i instytucyi dobroczynnych.

Syn, hr. Adam odziedziczył w całej pełni cnoty swej wspaniałomyślnej matki, żyjąc dla kraju....

11.

Żurka – r. 1859.

Pod koniec zimy r. 1859. powracałam z ojcem ze Skałki, był to wówczas zawsze spacer mój ulubiony. Wstąpiliśmy do naszego domu przy ul. Augustyańskiej, gdzie ojciec chciał dać jakieś zlecenie stróżowej Jakóbowej, dobrej kobiecinie, która owdowiawszy od lat kilku mężnie borykała się z ubóstwem, zamieszkującem dom cały. Do stancyi Jakóbowej weszła dziewczynka mała z ogromną miotłą, rozczochrana i bosa, mimo to uderzyła nas niezwykła jej uroda. Typ jakiś obcy – gdyby nie śliczne niebieskie oczy w czarnej oprawie – cygański.

Dziewczynka szybkim ruchem odrzuciła miotłę, otarła ręce fartuchem, poczem ucałowała ręce nasze, przypatrując mi się ciekawie. „To sierota, przyobiecała" objaśniła nas Jakóbowa, „przygarnęłam, sieroctwo – przyda mi się do pomocy w domu" Na uwagę ojca mojego że dziewczynka za mała i za wątła do ciężkiej pracy, odrzekła Jakóbowa: „Ona już nie dziecko, ma lat 15, mocna jest i żydom się nie da." Zurka – takie było jej imię – odprowadziła nas do bramy; przy świetle słońca lepiej jej przypatrzyć się mogłam. Na wiek swój mała, lecz zbudowana harmonijnie, o kruczych, bujnych włosach, cerze śniadej lecz zdro-

wej, o orlim, zgrabnym nosku, prześlicznych ustach
i ząbkach drobnych jak u myszy; mimo zanie-
dbania a może właśnie dla tego, wydała mi się
Zuzka kopciuszkiem. W powrotnej drodze rozmawia-
liśmy z ojcem o tem - bądź co bądź - dziwnem zja-
wisku, istnej perle zmalerionej w śmietniku. Rozmy-
ślałam, coby się dla Zuzki dało uczynić, żeby nie
zmarnowała się między żydostwem. Przedewszyst-
kiem trzeba ją było przyodziać lepiej, bo wiosna
była chłodna. Zaraz wyszukałam z mojej wyranże-
rowanej garderoby i bielizny trochę rzeczy i z do-
datkiem starych bucików posłałam do Jakóbowej
z poleceniem, aby dopasowała ubranie do małego

wzrostu Lurki, o głowę odemnie niższej wzrostem.
Po kilku dniach zjawiła się u nas Jakółowa
z wysztafirowaną przyzwoicie dziewczyną z podzięką za dary. Zauważyłam, że Lurka najwięcej zachwycona była bucikami, na które ciągle spoglądała z zadowoleniem.
W tym czasie rozpoczęto budowę naszego domu przy ul: Gołębiej a ojciec zajmował prowizorycznie niewielkie mieszkanie przy ul: Grodzkiej wespół z bratem moim starszym Michałem, uczęszczającym na wydział medycyny w Uniw. Jagiel. Dla panów wystarczająca była posługa męska, która mnie jednak za każdą bytnością w Krakowie krępowała. Postanowiliśmy więc, aby za każdym

moim przyjazdem ze Szczepanowic dodana była
Lurka, zwłaszcza, że Jakóbowa ręczyła za jej
uczciwość wypróbowaną w czasie półrocznego jej
pobytu. Dobra kobieta przywiązała się do sympatycz-
nej dziewczyny i uważała potrzebę wyuczenia jej
innej niż żydowskiej posługi. Rzeczywiście Lurka oka-
zała się nabytkiem wybornym. W krótkim czasie
z łatwością pojęła wszelkie powierzone jej roboty.
Sprytna, chętna, rozumna, zgadywała myśli nasze.
Kiedy brat mój Edward powrócił z wojny, ojciec zapo-
wiedział chłopcom surowo aby się do Lurki nie waży-
li umizgać... Sądzę że usłuchali i ze względu na
mnie uczynili tę ofiarę... Lurka zalotną też nie

była. Próbowałam zbadać przeszłość dziewczęcia; zawsze wtedy zachodziły łzami jej śliczne, dobre oczy, odpowiedzi dawała wymijające. Łagodną prośbą udało mi się przecie wydobyć z niej następujące wyznanie: „Panienko! Ciężkie jest życie sieroty! Rodziców nie znałam, wycierałam cudze kąty, pasąc gęsi, później bydło; bito mnie i poniewierano lata całe i nie wiem za co? Więc uciekłam i o żebraczym chlebie przyszłam do Krakowa. Okropnie zmęczona i wystraszona wielkością miasta, przysiadłam na kamieniu u bramy domu, przed którym ulicę zamiatała Jakóbowa. Poczciwa, przygarnęła mnie sierotę; dobrze mi u niej - niech jej to Bóg wynagrodzi

a teraz z łaski państwa jestem bogatą, mam przy-
odziewę i buciki. Panienko! ja chodziłam na plebanię
z innemi dziećmi na naukę katechizmu i nigdy
nic złego nie robiłam; Bóg to widzi i Matka Naj-
świętsza. Wiem że jestem ochrzczona - nazywam
się „Żurka Stanko.” Tu rozbeczałyśmy się obydwie i
więcej nie poruszałam tej drażliwej kwestyi.
Żurka była analfabetką; uczyłam ją czytać i pi-
sać a ona szybkie robiła postępy, nieraz ślęcząc -
jak mówiła Jakóbowa - nad książką przy łojówce.
W pamięciowych rachunkach prześcignęła mnie
rychło, gdyż do tych, co prawda, nigdy głowy nie
miałam. Pewnego dnia Żurka ścierając kurz

z konsoli pod zwierciadłem nagle mnie zapytała: „Panienko!" czy ja naprawdę jestem taka, jak ty widzisz w tem lustrze?" Na potakującą odpowiedź moją rzekła znowu: „Ja zupełnie teraz inna jestem – to panienka tak mnie odmieniła." Nie chcąc dziewczyny wbijać w zarozumiałość, powiedziałam: Nie ja cię odmieniłam, ale woda i mydło. Rozśmiała się wesoło. Zapytanie dziewczyny dało mi jednak do myślenia; był to pewnie moment, w którym sama poznała się na swej niezwykłej urodzie. Nie zmieniło jej to – pozostała nadal naiwną i prostą, jaką była dotąd.

W r. 1860. na początku karnawału przyjechałam do

Krakowa na dni kilka. Lurka stanęła zaraz do apelu.
Nazajutrz wczesnym rankiem weszła cichutko do mego
pokoju, aby zapalić w piecu. Kiedy przyklękła, zauwa-
żyłam przy blasku świecy, że obuta jest w buciki czer-
wone ze złotemi obcasami. „Co ty masz na nogach?" – zawo-
łałam – „co to za maskarada." Zerwała się dziewczy-
na, zdejmując starą, dewową chustkę i pokazała
mi się w teatralnym, niby cygańskim kostiumie,
oświadczając mi, że była na reducie z przyjaciółką i
że się do upadłego wyhulała... Można sobie wyobra-
zić moje przerażenie i zgorszenie. Wiedziałam o tem,
że ówczesne reduty odwiedzali tylko mężczyźni
i żydówki... Jak mogłaś pójść na tak nieprzyzwoi-

tę zabawę między hołotę? Ruszaj do domu i przebierz
się co żywo, aby cię pan nie zobaczył, inaczej stra-
cisz u nas miejsce. Zurka wkrótce powróciła
zapłakana i skruszona, błagając o przebaczenie
i przyrzekając poprawę. Kostiumu lichego dostar-
czyła jej żydówka znajoma. Od tej eskapady
Zurki stanął między nią a mną jakby cień jakiś.
Zmartwiona, pobiegłam do ciotki mej Karoliny
po radę, jakby ustrzec dziewczynę od złego towa-
rzystwa, w które widocznie popadła. Zurka zacho-
wywała się nadal bez zarzutu, co potwierdziła
także Jakóbowa, rozciągnąwszy nad dziewczyną
baczniejszy dozór.
Wtajemniczona w całą tę sprawę ciotka moja, Klu-

cieńska powzięła zamiar dobry wzięcia Zurki na rok do Szczepanowic dla wyuczenia jej prania, prasowania i szycia a była to szkoła nie lada... Po roku nie-liśmy się przenieść do naszego nowego domu, gdzie Zurka jako pokojowa miała zająć miejsce, i wielce zdawała się uradowaną być tym projektem.
W miesiącu czerwcu doniósł mi ojciec, że Zurka zniknęła z Krakowa, i wszelkie za nią poszukiwania nie zaniosły skutku. Zabolała mnie niewdzięczność mojej protegowanej, która zawiodła moją ufność. Ojciec mój machnąwszy ręką rzekł: „Cygańskie to było dziecko i musiało pójść w świat."
W r. 1865 brat mój Edward stał z pułkiem swym w Wiedniu. W dniu 1 maja poszedł z kolegą swoim

do Prateru na tak zwany „Praterfahrt" czyli corso kwiatowe a obrawszy sobie dogodne miejsce tuż obok drogi jezdnej w głównej alei, przypatrywał się nie kończącemu się szeregowi wspaniałych ekwipaży arystokracyi austryackiej, czeskiej i węgierskiej. W jednym, najpiękniej ukwieconym, zaprzężonym à la Daumont, zobaczył jakby w koszu kwiatów siedzącą prześliczną, młodą, strojną damę w towarzystwie starszej osoby o arystokratycznym wyglądzie. Jakież było jego zdumienie gdy w pięknej damie poznał naszą — Murkę! Nim się namyślił czy ma się jej ukłonić, ona pierwsza, uśmiechając się przyjaźnie, powitała go kilkakrotnem poruszeniem ręki. Od otaczających go Wiedeńczyków

dowiedział się, że piękna pani jest żoną magnata czeskiego, hr. Bubna a towarzyszka jej jest matką jej męża. W powrotnem często powtórzyła hr. Bubna swoje amikalne powitanie, zwracając przytem uwagę starszej pani na Edwarda. — Zamieszkując czas dłuższy w Wiedniu, brat mój dowiedział się, że hrabia Bubna przywiózł w r. 1860 z Galicyi młodziutką dziewczynę, którą umieścił w jednym z klasztorów w Pradze dla edukacyi na lat kilka, poczem ożenił się z nią.

W r. 1874. powracając z Francensbadu przez Pragę, męczona kilkotygodniową kuracyą, chcąc jednak przypatrzyć się pięknemu miastu wzięłam dorożkę i poleciłam dorożkarzowi, aby mi wska-

zał ważniejsze punkty i gmachy godne widzenia.
Dorożkarz, człowiek starszy i przyjacielski a przy-
tem gaduła, skierował się na tak zwaną Małą
Stronę, siedzibę wielkich panów czeskich, wskazu-
jąc na pałace Lobkowiców, Wallensteina, Kińskich
i innych, nie szczędząc mi objaśnień. Przed
jednym z pałaców przystanął i zapytał czy pozwo-
lę powiedzieć słów kilka bratu jego, odźwiernemu,
na co przystałam. Dorożkarz zeskoczył z kozła
i zapukawszy do okna przy bramie, wdał się w roz-
mowę z odźwiernym. Tymczasem przypatrywałam
się pałacowi. Był to ogromny, dwupiętrowy, szeroko-
wy budynek o długim, niezmiernie rzędzie okien
szczelnie zielonemi żaluzyami zamkniętych, o por-
talu ciężkim, przeładowanym ornamentacyą, nad

którym widniał herb właściciela. Dorożkarz, za-
jąwszy znów miejsce swoje, rzekł: To jest pałac
hr. Bubna; mój pradziad i dziad byli tu odźwier-
nymi, teraz brat mój zajmuje to miejsce, a da
Bóg, kiedyś syn jego po nim nastąpi. Mówił to
z pewną dumą a rozgadawszy się, począł wychwa-
lać rodzinę hr. Bubna, właściwie hrabinę, która,
choć nie jest wysokiego rodu, ma wielkie poważa-
nie u świata i jest bardzo piękną kobietą; a potem
dodał: „hrabina jest Polką. Słysząc te słowa, do-
myśliłam się, że dziwnym trafem znów ślad
Zurki odnalazłam. Zapytałam o imię hrabiny, na co
dorożkarz odpowiedział ze zdumieniem: Imię hrabiego

wyszło mi z pamięci. Dorożkarz objaśnił mnie, że państwo bawią z dwojgiem dzieci w Ostendzie. Nie zdradziłam - jak pojąć łatwo - przeszłości Durki, choć zbierała mnie ochota zostawić jej moją kartę wizytową, zaniechałam jednak tej myśli, rozważywszy, że Durka widocznie spaliła mosty za sobą, nie zgłaszając się do mnie ani słówkiem. Jakiemi drogami doszła do zaszczytów i świetności nigdy się nie dowiedziałam, przypuszczam jednak, że trafiła na człowieka uczciwego i uczciwą pozostała kobietą.

Warszawa - rok 1860.

Po kilkotygodniowym pobycie z bratem Michałem w Gardzienicach u wujostwa Józefów Lemańskich, wyruszyliśmy jesienią do Warszawy dla widzenia się z ciotką Steinkellerową, przybyłą z Paryża i wujem Edwardem Lemańskim. Wuja tego znałam tylko z licznych opowieści, jakie o nim krążyły w rodzinie, a także po kraju. Był to człowiek, liczący wówczas lat 40, wspaniałej urody, pan dumny, oryginał i - jak to mówią - narowny... Oboje rodzeństwo serdecznie nas przyjęli i ugaszczali paradnie w pięknem swem mieszkaniu przy ul. Królewskiej. - Właśnie w tym czasie zapowiedziano

zjazd 3 monarchów: cara Aleksandra II., ks. Regenta pruskiego Wilhelma i cesarza austryackiego Fran. Józefa I. Ruch szalony zapanował w Warszawie. Po wielkiej manifestacyi narodowej na pogrzebie zmarłej w czerwcu generałowej Sowińskiej podwoili Moskale czujność, miasto zaroiło się wojskiem. Monarchowie zamieszkali w pałacu w Łazienkach i Belwederze. Najpierwszy przyjechał car Aleksander i miał być w kościele katedralnym św. Jana. Mnie i bratu Michałowi oraz dwom kurynom naszym: Gnaczyńskiemu i Dobruchowskiemu, udało się dostać do kościoła i to pod kazalnicę, na wstępie do prezbiteryum; był to wyborny punkt obserwacyjny. Długiem

staniem czułam się ogromnie wyczerpana, więc któ-
ryś z kuzynów wyprosił w zakrystji jakiś stary, wy-
płowiały taburet, na którym z wielką ulgą usiadłam.
W środku kościoła wojsko tworzyło szpaler, za szpa-
lerem w zwartej masie stała publiczność milcząca...
Wreszcie zaturkotały carskie powozy; panie powycho-
dziły na ławki, do czego i mnie kuzynkowie zachę-
cili, abym lepiej mogła widzieć orszak i ceremonię
kościelną. Car poprzedzony przez arcybiskupa Fijał-
kowskiego w asystencji duchowieństwa wszedł do
kościoła chmurny, ponurym wzrokiem spoglądał
na wszystkich, odpowiadał zaledwie lekkiem ruchem
głowy, mającym oznaczać ukłon, chylącej się
przed nim publiczności. Odniosłam wrażenie

że z ochotą puściłby na nas hordę kozaków z na-
hajkami... Po prawej stronie ojca szedł w. książę
Mikołaj, następca tronu, młodzieniec ślicznej
urody; szedł z pochyloną głową, ze spuszczone-
mi oczyma, z miną zawstydzonego winowajcy.
Gdy car doszedł do prezbiteryum i mijał właśnie
ambonę, mimo huczącego organu dał się nagle
słyszeć głośny, suchy trzask!... Powodem do
tego niemiłego (a w dalszej chwili nawet groźnego
intermezzo) było złamanie się nogi u mego tabu-
retu. Szczęściem było, że tuż stojący brat mój
podtrzymać zdążył taburet, inaczej byłabym
runęła na szpaler żołnierzy. W kościele zapanowa-
ło chwilowe zamieszanie, a ja struchlałam tak

dalece, że już nie chciałam widzieć krótkiej cere-
monii przed wielkim ołtarzem, pragnęłam umknąć
pod ziemię a przynajmniej znaleźć się poza obrębem
kościoła, aby uniknąć świdrujących spojrzeń
moskiewskich detektywów. Wydostawszy się z tej
opresji, niezagabywani przez nikogo podążyliśmy
za czasem nad Wisłę na uroczystość poświęcenia
kamienia węgielnego pod mający się budować
most Kierbedzia, i tu dobre nam się dostało
miejsce. Mimo tysięcznych - jak wszędzie -
tłumów czuło się jakiś nastrój dziwny, coś
jakby uczucie ciężkiej ciszy przed burzą... Wśród
najwyższej arystokracji polskiej i rosyjskiej
widziałam sławną panią Kalergis, stojącą

z wdzięku i wywierająca czar i urok na serca
i umysły nawet wybitnych ludzi w naszem
społeczeństwie. Car Aleksander dość długo
z nią rozmawiał, jednak nie rozchmurzył swego
groźnego i złego oblicza... P. Kalergis, z domu
hr. Nesselrode, o której nieprzepartym uroku
tyle się nasłuchałam, wcale mi się piękną
nie wydała; szczupła, ryża i mocno piegowata,
ale zgrabna i elegancka, wytworną była posta-
cią. Rozwiódłszy się z mężem, bogatym Grekiem,
wyszła powtórnie za mąż za Muchanowa, dy-
rektora teatrów warszawskich.
Tego dnia wieczorem przybyli goście koronowani:
cesarz Franciszek Józef i książę Regent pruski

Wilhelm, i nazajutrz mieli z Łazienek i Belwederu, gdzie mieszkali, udać się do Zamku. Wuj Edward zaproponował nam przejażdżkę po mieście, zalecając nam przypatrzenie się przejazdowi monarchów i zdaniu mu o wszystkiem sprawy. Przyjęliśmy propozycyę. Wuj posiadał najpiękniejsze konie w Warszawie. Wydał dyspozycyę i wkrótce zajechał po nas ekwipaż. Była to mała karetka na 2 osoby, zaprzężona w parę wspaniałych, gniadych paradyerów, jakiejś obcorodnej maści. Objechaliśmy mniej nam znane ulice Warszawy, w końcu skręciwszy w ul: Trębacką, stanęliśmy u jej wylotu na Krakowskie

Przedmieście, z którego to stanowiska mogliśmy
wybornie widzieć przejazd monarchów i świty. Od
parku Łazienkowskiego przez Nowy Świat, Krakow-
skie Przedmieście aż po Zamek Królewski stał
szpaler wojska, tuż przy drodze jezdnej, bardzo-
jak wiadomo - szerokiej, po której uwijała
się moc Czerkiesów konnych, czuwających nad
wolnym przejazdem na całej przestrzeni. Tłumy
publiczności zalegały trotoary. W chwili, kiedy
sygnalizowano zbliżanie się orszaku carskiego,
konie szarpnęły naszą karetkę i spłoszone por-
wały naprzód. Błyskawicznie rozsunęła się publicz-
ność i przerwał szpaler wojska, a rozszalałe

konie pędziły środkiem ulicy. W takim też pędzie, otaczając karetkę, cwałowali czerkiesi. Wsunęłam się w głąb i zamknęłam oczy. Po tym na ów czas bruku karetka skakała jak łupina orzecha. W myśli widziałam się już wraz z bratem w cytadeli warszawskiej a nawet na Syberze.... a konie gnały jak wicher. Stangret i służący nie mogli ich powstrzymać — żołnierze zabiegali drogę nic nie pomagało. Wreszcie konie skręciły w ul. Królewską, porozrywawszy znowu kordon wojskowy a czując się blisko domu zwolniły w pędzie, chrapiąc głośno; biała piana spadała z nich płatami na bruk.

Otoczyło nas kozactwo a jakiś oficer ściągnął z nas protokół, zapisując nasze nazwiska, miejsce pobytu, i t.p. i puszczono nas do sieni domu, gdyż właśnie ukazały się powozy dworskie. Blada i wystraszona weszłam do mieszkania; brat mój nadrabiał miną, lecz widać było, że jest poirytowany naszą awanturą. Kiedyśmy opowiedzieli naszą przygodę fatalną, wuj Edward zamiast współczucia zaśmiał się głośno a zacierając z zadowoleniem ręce zawołał kilkakrotnie: „Eh to mi się udało wybornie — napędziłem Moskalom strachu. Kazał lokajowi przywołać stangreta i wetknął obydwom jakiś datek w rękę. Gdy wyszli z pokoju, ciotka Steinkellerowa z najżywszem

oburzeniem, poczęła wymawiać bratu jego niebacz-
ki pomysł narażenia nas na niebezpieczeństwo
złamania karku lub uwięzienie. Był to pomysł
i czyn warjata. Dobrej i spokojnej ciotki nigdy
tak zirytowanej nie widziałam. Chętny na załago-
dzenie sprawy, wuj, wcale — nawiasem mówiąc —
nie upokorzony ani przekonany, różne piękne
robił nam propozycje, jak n.p. teatru, illumi-
nacyi w Łazienkach i t.p. ale nam wszystkie
te przyjemności obrzydły i byliśmy radzi nie-
mierne, znalazłszy się w dni kilka poza grani-
cą, w Szczakowej. Doszły nas już w Krakowie wieś-
ci o demonstracyach warszawskich, które były
początkiem do tragicznych wypadków w latach
następnych i doprowadziły do powstania w r. 1863.

R. 1861.

Pod koniec r. 1861. wprowadziliśmy się do nowego domu naszego. Powróciłam więc na stały pobyt do Krakowa i urządziwszy się wygodnie objęłam gospodarstwo. Czułam się szczęśliwą, że nareszcie będę mogła zastosować nabyte praktyczne wiadomości w domu własnym, ku wygodzie kochanego ojca i brata. Było mi dobrze u zacnych moich krewnych, którzy najmniejszej nie czynili różnicy między mną a własnemi dziećmi, lecz uczucia radości, że nareszcie po latach ośmiu znalazłam się w swoim własnym pokoiku we własnem łóżku, opisać nie zdołam. Radość

sem mi odebrała. Jakże to wiele prawdy zawiera przysłowie, że wszędzie dobrze, ale we własnym domu najlepiej.
Odtąd wujostwo Kucieńscy przyjeżdżając ze wsi, gościli u nas z rodziną; miałam więc zaraz sposobność do odwdzięczenia się za ich złote serce i dobroć dla mnie, okazywaną mi przez lat tyle a także popisać się przed kochaną ciotką Józefą z nabytych u niej wiadomości i dowieść, że nauka jej w las nie poszła.
Pierwszym lokatorem w naszym nowym domu był hr. Grosnowski z Ukrainy, uczeń Uniw. Jag. panicz bogaty, należący do t. zw. Jokey-clubu, t.j. światku arystokratycznej, niezbyt roz—

wierzganej młodzieży. Pan C. zajął większą część
parteru. Nazajutrz po wprowadzeniu się p. C.
rozległ się po domu huk ogromny. Sądziliśmy
że schody się walą i strach nas niemały ogar-
nął. Powodem łoskotu było to, że jeden z kole-
gów p. C. Stanisław hr. Rey wjechał konno przez
sień i długi korytarz do mieszkania, a przeje-
chawszy enfiladę pokoi a nie zastawszy kolegi
rzucił kartę wizytową, co też i koń uczynić
nie omieszkał... Początek nie był obiecujący,
szczęściem, że na tym wybryku hr. Reya, zwa-
nego Reyem z Półgłowic, skończyło się. Mimo
burzliwego wstępu mieliśmy zawsze dobrych
lokatorów, między tymi i ludzi znakomitych

w kraju naszym, jak Stanisław i Jan Tarnowscy, Walerjan Kalinka, Julian Klaczko, Władysław Żeleński, minister stanu Jędrzejewicz, prof. Jerzy Mycielski, muzyk i kompozytor Zygmunt Nowowski i wielu innych, do których, jeżeli dłużej pożyję, jeszcze powrócę. - Pierwszą lokatorką I p. była panna Cecylia Dembińska, siostra generała z 2 bratankami, p. Ludwiką i Maryą Dembińskiemi. Drugie piętro oprócz nas zajął Mrzewiec, inżynier wojsk., zajęty przy budowie fortów krakowskich, ożeniony z Węgierką, zavolkówną Varogni, damą wielce sympatyczną. Miałam więc w najbliższem sąsiedztwie lokatorów miłych, gdyż i czcigodna

p. Cecylia Dembińska darzyła mnie swoją sym-
patyę. Ja też staruszce chętnie wolne od zajęć
domowych chwile poświęcałam.
Odczuwałam bardzo brak fortepianu; nasz sta-
ry, fabryki krakowskiej Cyfrowicza, weteran
wysłużony, sprzedany został jakiemuś wiejskiemu
organiście. Ojciec z kupieniem nowego się nie
kwapił – nalegać, wobec wielkich wydatków na
budowę domu, nie śmiałam. Zawsze na mnie
łaskawa p. Julianowa Dunajewska, mieszkająca
blisko, bo przy ul: Brackiej, zaproponowała mi
abym do niej grać przychodziła, co z wdzięcznością
przyjęłam, zwłaszcza, że pani ta doskonałą by-
ła pianistką i dużo od niej mogłam jeszcze

skorzystać. — P. Dunajewska znając moje gorące
pragnienia, nieraz namawiała ojca aby kupił for-
tepian; ojciec przyznał się że mu nie idzie o koszt,
lecz że zauważył, iż ja grając dostawałam więcej wypie-
ków na twarzy, co go niepokoiło i co uważał za objaw
chorobliwy. „Jak się dorwie własnego fortepianu,
będzie więcej grywała” — rzekł ojciec — a ja wolę
żeby zdrową była niż pianistką.” Grywałam więc
tylko dorywczo przeszło rok cały, nie chcąc ludziom
bębnić nad głową gamy i wprawki. Minął rok
cały, kiedy pojawiła się u mnie p. Dunajewska
z wiadomością, że polecili jej krewni z prowincyi
wybrać dobry fortepian dla nich i prosiła mnie

abym się z nią udała do składu fortepianów
Hollmanna w Krzysztoforach dla wypróbowania
instrumentu. Jakoż po licznych przygrywkach
i dłuższym namyśle i targu, wybrałyśmy dobry
i ładny fortepian wiedeński, fabryki Hofbauera.
W dniu 8 kwietnia popołudniu usłyszałam w sie-
ni domu głośny jakiś harmider i ciężkie stąpa-
nie. Sądziłam, że może jakiś konny gość wizytu-
je p. Grosmowskiego... wyszłam więc na korytarz
w celu zbadania hałasu. Tu spotkałam dwóch
ludzi, z których jeden piastował nogi fortepianowe
a drugi pedał, zapytując mnie „Gdzie tu do p. Fry-
ka Chopra." Skombinowawszy podstęp p. Dunajewskiej

i przeddzień moich imienin, domyśliłam się, że for-
tepian jest darem na wiązanie dla mnie od kocha-
nego ojca. W tej też chwili ukazał się oczom moim
upragniony instrument, ten sam który wybrałam.
W dużym naszym salonie zaraz wybornie znalazło
się miejsce. Podczas składania fortepianu por-
wałam córeczkę 9letnią naszej kucharki, Różę,
i z radości zapomniawszy o narodowej żałobie,
przetańczyłam z nią walca raz do koła salonu.
Posłańcy p. Hollmanna a może i Rózia posądzili
mnie pewnie co najmniej o lekkiego bzika. Uczęsto-
wawszy ich starą śliwowicą i jakimś ciastem
do jutrzejszej solenizacyi przygotowanem, zagrałam

odchodzącym siaoczystego mazura, a radość
moja także im się widocznie udzieliła, gdyż —
jak mi mówiła Zosia — wycinali w korytarzu
dziarskie hołubce. — Nie mogłam doczekać po-
wrotu ojca do domu, pilno mi było rzucić mu się
na szyję i podziękować za tak wspaniałe wiązanie,
co gdy uczyniłam, ojczysko rzekł pokrywając
wzruszenie: Tylko pamiętaj nie grać za wiele,
bo klawicymbał zamknę i klucz połknę. Dnia
następnego na gościach moich fortepian wy-
warł efekt niemały — grano, śpiewano i bawio-
no się świetnie. — Gorąco podziękowałam zacnej
p. Dunajowskiej za jej owocne wstawiennictwo. —

Panna Korzjanowska, dawna nauczycielka moich kuzynek Kucińskich, osiadła była na starość w Krakowie; była ona pianistką wielce utalentowaną i miłośniczką Chopina. Z własnej woli ofiarowała się dawać mi 3 godz. lekcyi tygodniowo, u. b. bezpłatnie. Ze wskazówek p. K. wiele skorzystałam, mianowicie zawróciwszy odrazu od modnych wówczas Kalkbrennerów, Charles Mayerów, Thalbergów i t. p. do muzyki klasycznej i do Chopina. - W owym czasie brak był nauczycieli w Krakowie. Bardzo wziętym i drogim (brał 1 złr. za godzinę) był Nemock, uprawiający specyalnie muzykę salono-

wą. Stary Germasz, Czech, był klasykiem i wybornym muzykiem, ale był już był wiekowym, i lekcye opuszczał a gdzie nie widział talentu, tam uczyć nie chciał. (Również dziś w r. 1919. niema takich skrupulatów) Germaszowi jednak należy się chwała za sprowadzenie muzyki z banalnej salonowości na drogę klasyczną. Jego pierwszą uczennicą była p. Anna z Łokaszewskich hr. Antoniowa Potocka z Olszy, znakomita pianistka a podobno i Władysław Żeleński.

50

Spis rzeczy.

1. Rok 1859. – Koreszowice . . . . str. 1
2. Łurka . . . . „ 11.
3. Warszawa – Rok 1860 . . . . „ 27.
4. Rok 1861 – Wprowadzenie się do naszego domu . . . . „ 38

